ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. Czerwca. № 25. Roku 1856.

JEZIORO DE GERS.

(Z powieści genewskich R. Toepffera.)

(Z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 24. Rozmaitości.)

Na nieszczęście jestem niezmiernie bojaźliwy z urodzenia; niecierpię niebezpieczeństw, w których jak słyszałem mają upodobanie bohatérowie, i niema nic milszego dla mnie jak zupełne bezpieczeństwo z przodu, z tyłu i po bokach. Sama myśl o tém, że w pojedynku może się oko z łatwością spotkać z ostrzem szpady, była dostateczna do utrzymania mię w granicach rozsądku, pomimo mego żywego temperamentu, tępéj nieco pojętności i wielce drażliwéj dumy. A tu mogło mię spotkać coś gorszego jeszcze niż pojedynek; mógł to być zamach na moją sakiewkę, na moje życie, a może i na oboje razem; mogła nastąpić straszna katastrofa, a niebyło nikogo, coby zaniósł wiadomość o tém! Myśl ta powstawszy raz w mojéj głowie, przygłuszyła w niéj wszystkie inne i opanowała tak dalece moją duszę, żem postanowił co prędzéj ukryć się pomiędzy skałami i śledzić ztamtąd, co się działo za mojemi plecyma.

Siedziałem tak na czatach prawie pół godziny, (a trzeba wiedziéć, że to strasznie męczy), gdy w tém jakiś mężczyzna podejźrzanéj powierzchowności wysunął się z lekka z pomiędzy sosen. Przez chwilę rozglądał się z natężeniem w kierunku skał, między któremi byłem ukryty, a potém klasnął dwa razy w dłonie. Na to hasło wystąpiło z ukrycia dwóch innych, i wszyscy trzéj zarzuciwszy na plecy duże worki, puścili się spokojnie w górę zapalając swe fajki. Niebawem przybyli prawie do tego miejsca, w którém się ukrywałem skulony przy ziemi, i usiedli w pobliżu na swoich workach zupełnie tak jak owi siedmnastu. Ale szczęściem nieobrócili się twarzą do mnie.

Miałem dość czasu robić rozmaite spostrzeżenia. Ci panowie zdawali się być mocno uzbrojeni. Mieli między sobą jeden karabin i dwa pistolety, nielicząc dużego worka, który wyobraźnia moja, rozgrzana lekcyą historyi, nieomieszkała napełnić prochem z Berny. I drżałem już na samą myśl o jakim śladzie, gdy jeden z nich powstawszy, by odejść na kilka kroków, położył na swoim worku niedopaloną jeszcze fajkę. Na ten widok

poleciłem duszę Bogu i oczekiwałem eksplozyi, cisnąc się całą siłą do skały, pod któréj zasłoną czułem się przynajmniéj o tyle bezpiecznym, że niepotrzebowałem krzyczéć ze strachu.

Ów jegomość, który się oddalił, podszedł nieco wyżéj i powiódł śledczym wzrokiem po drodze, którą przebyli.

— „Niewidać go już nigdzie;“ — rzekł wracając po chwili do swoich towarzyszy.

— „Wszelako“ — ozwał się drugi — „hultaj ten może nas sprzedać strażnikom!“

— „A ja ręczę,“ — przerwał mu trzeci — „że dlatego tylko tak się pospieszył naprzód. To przebrany strażnik: ja wam powiadam. Zatrzymywał się, jakby dla szpiegowania, oglądał się na wszystkie strony.... Wielka szkoda, żeśmy go niesprzątnęli niewidzianego i nieznanego w tym ustronnym, samotnym zakącie! Tylko umarli niewracają więcéj!“

— „Tak jak Jean-Jean niepowrócił“ — ozwał się znowu drugi. — „Oto właśnie w téj dziurze, pod owym pagórkiem, zgniły jego kości. Nikczemnik ten, gdyśmy go schwytali, chciał udać niewinnego, rzucił daleko od siebie karabin, ten sam, który trzymam w ręku. Zrobiono z nim krótki proces. Zaledwie dostał się w nasze ręce, przywiązał go Lanièche do drzewa, a Pierre poczęstował kulką w samą skroń. I figlarz ten zawołał dopiéro potém: Jean-Jean, módl się nieboże.“

Dziki śmiech nastąpił po tych strasznych słowach, na które ścięła się krew w moich żyłach, aż wreszcie powstał piérwszy z nich, by dać znak do dalszego pochodu, i nieszczęśliwym przypadkiem zwrócił oczy w to miejsce, gdzie siedziałem skulony drżąc z bojaźni i przerażenia.

— „Tam do licha!“ — zawołał spostrzegając mnie — „mamy srokę w gnieździe. Patrzcie, nasz amator!“

Na te słowa zerwali się dwaj drudzy na równe nogi, i wnet ujźrzałem, a przynajmniéj zdało mi się że widzę, niezliczone mnóstwo pistoletów skierowanych ku méj skroni.

— „Héj, panowie!...“ wołałem spiesznym i urywanym głosem — „moi panowie, ja.... wy się mylicie..... pozwólcie.... spuśćcie najpierw tę broń..... Panowie, ja najuczciwszy człowiek na świecie.... (na te słowa zmarszczyli brwi), spuśćcie, błagam was, tę morderczą broń, która mogłaby wypalić mimo waszéj woli...... ja biedny literat..... nieznam się wcale ze strażnikami.... jestem żonaty, ojciec familii.... Spuśćcie, zaklinam was, waszą broń, która niedozwala mi zebrać myśli. Idźcie spokojnie waszą drogą nietroszcząc się o mnie.... Ja niecierpię strażników. Ja chwalę nawet wasze mozolne rzemiosło. Wyście poczciwi ludzie, wam zawdzięczają dostatek i wygodę ofiary ludzkiéj chciwości. Moi panowie, ja wam oddaję cześć i uszanowanie!“

— „Przyszedłeś tu nas szpiegować?“ — krzyknął najgorszy z nich piorunującym głosem.

— „Broń Boże! Broń Boże!... ja przyszedłem tu....“

— „Ażeby nas śledzić i sprzedać. Znamy cię ptaszku. Widzieliśmy, jakieś tam na dole szpiegował, oglądał....“

— „Piękną przyrodę, moi zacni panowie, i nic więcéj!“

— „Piękną przyrodę? A taż kryjówka, w któréj się zaczaiłeś, czy zbierałeś w niéj jakie zioła? Szkaradne rzemiosło obrałeś sobie. Te góry należą do nas. Biada temu, kto nas tu szpieguje! Mów pacierz nieboże....“

I wymierzył swój pistolet.

Na ten widok padłem jak długi na ziemię. Dwaj drudzy zbliżyli się nieco, nie dlatego jednak, by się wstawić za mną, i wszyscy trzéj szeptali coś między sobą, poczem jeden z nich wkładając bez ceremonii swój worek na moje ramiona, krzyknął groźnym głosem:

— „Ruszaj naprzód!“

Tym sposobem otrzymałem naraz udział w wyprawie przemytników. Było to po raz piérwszy w mojém życiu, i starałem się téż odtąd jak najmocniéj o to, ażeby było po raz ostatni.

Zdawało się, że mój los został rozstrzygnięty w téj tajemnéj rozmowie, gdyż ludzie ci nietroszczyli się już mną wcale. Szli w milczeniu niosąc naprzemian dwa drugie worki. Kilkakrotnie próbowałem przecież przekonać ich o mojéj niewinności; ale ich doświadczone oko przemawiało nierównie więcéj na moją korzyść, niż wszystkie moje najuroczystsze zapewnienia; tego jednego tylko niemogli sobie wytłumaczyć, dlaczegom szedł tak ostrożnie i oglądał się na wszystkie strony, kiedym powinien był sądzić jeszcze, że jestem sam jeden w tém odludném miejscu. Wyjawiłem im przeto tę tajemnicę opowiadając o owém zjawisku, które mię zdziwiło, gdym siedział nad brzegiem jeziora.

— „Mniejsza o to“ — rzekł najgorszy z nich — „winny czy niewinny mógłbyś nas zdradzić przecie: ruszaj naprzód. Za chwilę będziemy w lesie. Tam skończymy z tobą.“

Można sobie wyobrazić, jak okropne znaczenie musiałem przywiązywać do tych wyrazów. Przez półgodziny, nim doszliśmy do lasu, miałem czas powziąć dokładne wyobrażenie o śmiertelnéj trwodze i męczarni delikwenta, którego prowadzą na rusztowanie. Proszę mi wierzyć, że taki stan duszy jest wielce pożałowania godny. Wprawdzie miałem jeszcze za sobą najpierw moją niewinność, a powtóre nadzieję spotkania kogo, nielicząc tego, że mi się nastręczała sposobność rzucić się razem z mym ciężarem w bardzo wyśmienitą przepaść, która się otwiérała po prawéj stronie naszéj ścieżki. Ale nadzieja moja nieziściła się jakoś; z przepaści niemiałem ochoty korzystać, i tak dostaliśmy się bez przeszkody do lasu. Tu ci panowie zdjęli ze mnie swój ciężar, przywiązali mię silnie do dużego modrzewia i.... i zamiast zastrzelić, jak to zrobili z Jean-Jeanem, rzekli nakoniec:

— „Potrzeba nam dwadzieścia cztéry godzin bezpieczeństwa. Baw się tu jak możesz. Nazajutrz wracając odwiążemy cię i mamy nadzieję, że z wdzięczności niezdradzisz nas.“

Po tych słowach zabrali swe worki i pożegnali mię.

Mogę rzec śmiało, że nigdy jeszcze niewydała mi się natura tak piękną i

promienną, jak w téj chwili. Rzecz szczególna! Mój modrzew niezawadzał mi wcale. Dwadzieścia cztéry godzin wydawały mi się minutą, a ludzie ci wzorem szlachetności, wprawdzie nieco rubaszni z potrzeby, ale zresztą zacni i znający zwyczaje towarzyskie. A wszystko to dlatego, że mi darowano życie! To téż po upływie kilku minut, gdy po najokropniejszéj trwodze nastąpiła tak silna radość, straciłem na chwilę przytomność, a gdym się wreszcie opamiętał, puściły się rzęsiste łzy z mych oczu. Nie radbym po opisaniu méj trwogi, która tak śmiesznie się skończyła, wspominać tu o uczuciach, jakie przy téj sposobności budziły się w mém sercu; ale dlaczegoż miałbym się taić z tém, że zaledwie odzyskałem wolność, dziękowałem Bogu za to z całéj duszy, i że te łzy, które przelewałem z taką przyjemnością, były to łzy uwielbienia i najgłębszéj wdzięczności, jaką człowiek żywić może tylko dla téj najwyższéj istoty, która losy nasze trzyma w swoim ręku. Dziękowałem mu téż po tysiąc razy, i piérwsze uczucie, jakiego doznałem po tych dziękczynnych modłach, była-to radość niewysłowiona, że po przebyciu tak wielkiego niebezpieczeństwa powrócę cało na łono mojéj familii. I tak mocno zapragnąłem w téj chwili pospieszyć w jéj objęcia, że dopiéro teraz zacząłem czuć naprawdę, jak to niewygodnie mieć tak grube drzewo przywiązane do swéj osoby.

Była-to druga godzina z południa. Miałem już tylko dwadzieścia trzy godzin do czekania. Miejsce to było odludne, w pobliżu lodowców, dokąd nigdy niezapuszczają się podróżni. A nawet gdyby się był kto pojawił w téj piérwszéj chwili, kiedy byłem jeszcze przejęty cały głębokiém uszanowaniem dla moich prześladowców, zapewne niebardzo oddalonych, byłbym go prosił zdaje mi się, żeby mię nieuwalniał jeszcze, a nawet niezbliżał się do mnie. Ale po upływie cztérech godzin prawie, gdy uszanowanie moje zmniejszało się powoli w miarę ich oddalenia, zaczynał mój modrzew, mówiąc bez ogródki, dokuczać bardziéj mym plecom, i niepozostawało mi już nic innego, jak oczekiwać owego szczura z bajki, aby mię wybawił z tego nieszczęścia, gdy nad wszelkie spodziewanie moje pojawił się jakiś wieśniak.

Była-to w istocie figura nader bajeczna. Miał na sobie dziurawy kapelusz, wytarte spodnie bez pończoch, a pod nosem coś nakształt czarnego lasu, pochodzącego ze zbytniego używania tabaki, zapewne przemycanéj.

— „Héj! przyjacielu, na pomoc!“ — zawołałem nań.

Ale poczciwiec ten, zamiast pospieszyć do mnie, zatrzymał się zwolna i zażył spory niuch tabaki.

Wieśniak sabaudzki nie jest chytry, ale roztropny. Nierobi nic bez namysłu, niesięgnie ręką gdzie ciemno, i niemiesza się do żadnéj sprawy, gdy zmiarkuje, że mógłby się tém narazić na spór z władzą, na zatargi ze sąsiadami, lub niemiłe zajście z karabinierami królewskiemi. Zresztą najlepszy to lud na świecie, mówię to na prawdę, i przekonałem się o tém właśnie przy téj sposobności.

Mój wieśniak tedy był-to uczciwiec w całém znaczeniu tego wyrazu; ale człowiek przywiązany do drzewa: — temu niedowierzał jakoś. Mógł to być jakiś wybieg ze strony władzy, jakaś zasadzka prywatna, lub co innego. Dlatego téż, nim się zbliżył do mnie, chciał się przekonać pierwéj, czy ja nieprzyjdę do niego.

Przez chwilę więc przypatrywał mi się z wielką ciekawością, a w końcu uraczywszy nos świeżym niuchem tabaki, odważył się przemówić.

— „Piękny dzień!“ — rzekł z chytrym uśmiechem, i jak gdyby mi szło o przyjemność przechadzki — „bardzo piękny!“

— „Niema co mówić;“ — odrzekłem — „ale odwiąż mię piérwéj, przyjacielu, a potém mów o pogodzie.“

— „Będzie na to dość czasu jeszcze. A długo tak pokutujesz?“

— „Już trzy godzin przeszło. Daléj! do dzieła!“

Wieśniak postąpił o dwa kroki naprzód.

— „Czy to jacy źli ludzie tak ci się przysłużyli?“

— „Opowiem ci to wszystko. Odwiąż mię tylko.“

Znowu zbliżył się o trzy kroki i już myślałem, że wreszcie skończą się moje męczarnie, gdy niecnota ten zniżając głos, spytał z wyrazem tajemniczości:

— „Pozwól no — a nie byli to przypadkiem przemytnicy?“

— „Tak jest. Zgadłeś, bracie. Te łotry uwiązali mię w tym lesie, ażebym tu zginął do jutra nim powrócą.“

Słowa te sprawiły szczególniejsze wrażenie na wieśniaku. Cofnął się ze strachu i widocznie miał chęć mię opuścić. Wtedy niemogąc powściągnąć mego gniewu, zacząłem go znieważać i hańbić jak najostatniejszego z nędzników, którzy niegodni są nawet imienia człowieka. Ale to wszystko niewzruszyło go bynajmniéj.

— „Zobaczymy“ — mruczał cofając się zwolna. — „Jeszcze będzie czas cię odwiązać!“...

Poczem podwajając krok odszedł napowrót tą samą ścieżką. W ślad za nim leciały moje przekleństwa.

(Dokończenie nastąpi.)

SEKTA THUGOW W INDYACH.

Istnieje w Indyach klasa morderców, a raczéj uorganizowane na wielką skalę tajne towarzystwo, którego wyraźném zadaniem jest, wytępiać społeczeństwo ludzkie. Jest-to straszliwa sekta Thugów czyli Phansigarów, to jest Dusicieli. Początek téj sekty gubi się w pomroce czasu, i pewnie z pół wieku już dręczyła ludzi ta okropna plaga, nim zdołano odkryć właściwe jéj źródło. Mianowicie dopiéro w roku 1830 zdradził cały ten system jeden z naczelników sekty, któremu w razie wyznania prawdy obiecano darować życie.

Religijną podstawą tej sekty jest cześć Bhawanii, srogiego bóstwa, które w mordach tylko ma upodobanie i nienawidzi ród ludzki. Ofiary z ludzi są najmilsze dla niego, a im więcéj który z czcicieli jego zamorduje ludzi w tym życiu, tém większe roskosze rajskie czekają go w nagrodę na tamtym świecie. Członkowie téj bandy morderczéj odznaczają

się względem swych spółwierców współczuciem, wspaniałością, poświęceniem; ale by się przypodobać boskiéj władczyni swojéj, mordują bez litości wszystkich, którzy nienależą do ich sekty, nawet starców, niewiasty i dzieci. Korzyść materyalna zdaje się być przytém podrzedną tylko; głównym zaś zamiarem mniemanéj ich misyi świętéj, któréj poświęcają się z całą namiętnością fanatyzmu, jest i zostanie zawsze polowanie na ludzi, niemniéj ponętne dla nich, jak dla drugich polowanie na dzikie zwierzęta. Co więcéj, niektórzy z tych apostołów piekła upatrują prawdziwie niebiańską w tém roskosz, wabić swe ofiary wszelkiemi sztuczkami chytrości i fałszu w swoje sidła.

Równie jak Farmazoni poznają się Thugowie po rozmaitych znakach, które nieświadomym tajemnicy niewpadają w oczy. Nazwę Phansigarów czyli Dusicieli otrzymali od szczególniejszego sposobu, w jaki bez rozlewu krwi pozbawiają życia swą ofiarę. Oto czatują na tę chwilę, kiedy podróżny, którego zaufanie pozyskali, przechodzi obok nich bez obawy, i zarzucają mu wtedy rodzaj chustki na szyję, niby Lasso południowego Amerykana. Przymocowany jak u procy kamień do końca téj chustki, okręca ją szczelnie około szyi, i jedno uderzenie pięścią jest dostateczne, by złamać kark ofierze.

Pokazało się z doświadczenia, że przed odkryciem i ściganiem tych sekciarzy w całych Indyach zostawała w związkach z nimi, może z obawy, większa część głównych dzierżawców, właścicieli gruntów, a nawet i włościan, którzy udzielali im języka, sposobności, a w razie potrzeby i pomocy nawet, przechowywali zrabowane rzeczy i dzielili z nimi zdobycz. Oprócz tego znajduje się w każdém mieście, w każdéj wiosce pewna liczba fakhirów czyli pustelników, którzy należą do sekty Thugów i pełnią służbę szpiegów. Ich pomieszkania są po największéj części ustronne i ukryte śród gęstych zarośli. Powierzchowna pobożność gospodarza, miłe cieniste ustronie, zdrój czysty i częstokroć z świętego płynący źródła — przywabiają podróżnego; z ufnością przyjmuje ofiarowaną uprzejmie gościnność, zasypia i nieprzebudza się więcéj. W kraju, gdzie miejsca zamieszkane zbyt są odległe od siebie, i niema prawie innych gościńców prócz ścieżek śród lasów, bagnisk i pustyń, gdzie nadto ciągłe pielgrzymki i rozmaite zabobony pociągają za sobą koczownicze prawie życie, i podróżny kupiwszy we wsi lub w mieście potrzebny zapas żywności zakłada swój nocleg za zwyczaj pod gołém niebem w cieniu pięknego drzewa; — w takim kraju łączą się z łatwością wszelkie pomyślne stosunki, by dać pochop do rabunku i morderstwa i osłonić zbrodnię pod karą, a to tém bardziéj, jeśli panują zaburzenia wojenne. Ileż-to tysięcy ludzi musiało w ten sposób paść ofiarą i jak okropnie musiało to przerzedzić ludność Indyi, nim wytropiono to straszliwe rzemiosło i starano się je wytępić najsilniejszemi środkami!

Jeden z naczelników sekty, gdy pod warunkiem szczerego wyznania zapewniono życie jemu i spółwinowajcom jego, zeznał przed sądem, że w ciągu swego zawodu Dusiciela zakłół lub udusił niepodobną do uwierzenia liczbę 719 osób, i mawiał potém często z żałośnem westchnieniem: „Gdyby nie dziesięć lat więzienia, byłbym snadnie dopełnił tysiąca!“ — Pokazuje się ztąd, jak dalece człowiek wszędzie największym jest nieprzyjacielem samego siebie, i że częstokroć więcéj potrzeba się go obawiać, niż najjadowitszych gadów, najdzikszych zwierząt drapieżnych.

LUKHMUNIA.

(Podług angielskiego.)

Hira Hall, bankier w Allygbur w górnych Indyach, zaręczył jedyną córkę swoją Lukhmunię, gdy miała 5 lat jeszcze, z najstarszym synem Narebina Baisaka, bankiera w Muttrze. Obie familie należały do kasty Braminów i były bardzo zamożne.

Podług zwyczaju indyjskiego oddaje się narzeczonę, gdy skończyła już 12 lub 13 rok, pod opiekę rodziców narzeczonego. Lukhmunia zaś opuściła dom rodzicielski dopiéro w czternastym roku. Podczas przygotowań do podróży panował wielki smutek w rodzinie, która prawdopodobnie na zawsze żegnać ją musiała. Zamożne bowiem niewiasty indyjskie, raz wyszedłszy za mąż, nieopuszczają już nigdy prawie pomieszkania swego, ani nawet dla odwiedzenia najbliższych krewnych swoich.

Powóz, w którym Lukhmunia miała odbyć podróż, był-to zwyczajny długi wóz, jakiego używają zwykle damy indyjskie przy podobnych sposobnościach, a którego przykrycie z pąsowego sukna jest zwykle grubo podwatowane, by we dnie mogło chronić podróżnego od skwaru, a w nocy od zimna. Wnętrze jest wybijane i gustownie ozdobiane. Wóz taki ciągnie zazwyczaj para sążnistych, białych bawołów, których rogi i racice są fantastycznie pomalowane albo przynajmniej niebiesko-czerwono i żółto ufarbione; szory ich są szkarłatne i ozdobione złotem. Inne wozy z towarzyszkami Lukhmunii, miały jechać przodem w niejakiéj odległości; ona zaś siedziała sama jedna w swym powozie.

Kapłani bramińscy, których rady zasięgają zwykle przy takich sposobnościach, oznaczyli godzinę piątą z południa jako najpomyślniejszą do odjazdu, i o téj też godzinie opuścił korowód weselny pomieszkanie Hira Lalli. Dziatwa rzucała pod nogi wianeczki z jaśminu, i rozdawano szczodrze jałmużnę ubogim, którzy żebrali, by zanosić modły o pomyślność narzeczonéj.

Jechali przez całą noc bez przerwy, i dopiéro nazajutrz o ósméj godzinie zrana zatrzymali się podróżni w cienistym gaju w pobliżu gościńca. Tu ujźrzałem przypadkiem narzeczonę, a przywabił mię widok nadzwyczaj malowniczy. Liczna służba w pstrych, jasnobarwnych szatach i turbanach, olbrzymie, do zadziwienia potulne woły, wesołe i rozmaicie pomalowane wozy, słowem wszystko to stanowiło grupę, która w wysokim stopniu obudzała moją ciekawość. Jeden ze służących powiedział mi wszystko, czego dowiedzieć się pragnąłem. A gdym go wypytywał jeszcze, padł wzrok mój na zakryty powóz narzeczonéj, i dostrzegłem, jak z za osłony ciekawie mi się przyglądała. Mogłem widzieć twarz tylko i górną część jéj ciała, ale przekonałem się, że była nadzwyczaj piękna, piękniejsza niż wszystkie Indyanki, które kiedykolwiek widziałem. Oko jéj ocienione było niezmiernie długą rzęsą, nos powabnie zakrzywiony, twarz foremna, a usta, broda i szyja tak pięknie utoczone, jakie widzieć można prawie tylko u statuy mistrzowskiego dłuta, rzadko zaś u ludzi żyjących. Rączki jéj były jak po największéj części u Indyanek, bardzo drobne i kształtne. Na twarzy jéj spoczywał jeszcze cień smutku, jakim ją napełnił wyjazd z domu rodzicielskiego. Zdobiły ją wszelkiego rodzaju błyskotki ze złota i drogich kamieni; ale suknia jéj była z prostego muszlinu z Dacey, którą nosiła jednakże z gracyą właściwą niewiastom oryentalnym. Ukradkowo napawałem się tym zachwycającym widokiem, dopókąd oczy jéj niespotkały się z memi. Wówczas uśmiechnęła się zarumieniona i spuściła czémprędzéj zasłonę. Ja zaś niechcąc obecnością moją przeszkadzać służbie w urządzaniu obiadu, opuściłem obóz pięknéj Lukhmunii i powróciłem do mego namiotu.

Około czwartéj godziny z południa, gdy promień słońca zdawał się już ostygać, wyruszyła Lukhmunia w dalszą podróż z swoim dworem. Widziałem ją znowu jak zjeżdżała na drogę, i długo jeszcze, gdy już wozy znikły mi z oczu, słyszałem wesoły brzęk dzwoneczków uwiązanych do szyi bawołom. To hymn godowy pięknéj Lukhmunii! pomyślałem.

Ujechawszy kilka mil daléj wyprzedzono w drodze jakąś starą niewiastę, która na pozór złamana wiekiem i niemocą płakała gorzko wzywając pomocy Boga. Siwy włos jéj wpadał gdzieniegdzie w żółtawy kolor, gęba była prawie bez zębów, a zeschła jéj skóra wisiała w dużych fałdach około szyi i na piersiach. Na jéj rękach i nogach niebyło widać ani śladu mięsa; zdawały się być złożone z samych tylko żył, kości i skóry. Ale jakkolwiek nędzna była jéj postać, miała przecież żywe, błyszczące oczy, a na jéj twarzy malował się jakiś roztropny, ujmujący wyraz, który obok jéj ubóstwa i zgrzybiałości musiał obudzać tém większą litość dla niéj. Głos miała miękki i pełen dźwięku, wymowę bar-

dzo płynną i jasną, a wyrazy jéj były stosowne i doskonale dobiérane.

Słudzy jadący przodem minęli staruszkę nieważając na nią bynajmniéj. Niższe klasy ludu w Indyach niemają prawie żadnego współczucia dla cierpiących bliźnich. Nie tak postąpiła młoda narzeczona. W jéj piersiach biło serce tkliwe na wszelkie cierpienia; cześć i uszanowanie dla sędziwego wieku były jéj wrodzone. Zdjęta litością nad biedną starnszką, kazała stanąć woźnicy. Wezwany wstrzymał bawoły i z za osłony spytała Lukhmunia niewiastę o przyczynę jéj zmartwienia i płaczu.

— „Lube dziécię“ — odrzekła stara — „oby cię Bóg zachował w swéj opiece! Mam wnuczkę w Muttrze, którą chciałabym widziéć raz jeszcze przed śmiercią. W drodze do niéj odbiegły mię siły, i oto usycham teraz z głodu i tęsknoty śród bezludnéj pustyni. Bądź szczęśliwe, dziécię! I oby skarby twoje niezmarniały nigdy w ukryciu!“

— „Matko“ — rzekła Lukhmunia — „nienarzekaj! Uspokój się i nabierz odwagi! Zobaczysz twoją wnuczkę. Ja jadę do Muttry, możesz jechać ze mną. Pójdź i usiądź przy mnie!“

Stara obsypywała Lukhmunię życzeniami błogosławieństwa. „Oby tron twój był wieczny! Oby dzieci twoje przyniosły ci pociechę! Oby wyszedł z ciebie szereg królowych! Oby skarby całego świata spadły do twego kosza!“ I przy tych życzeniach całowała nogi dziewicy i ściskała jéj piękne, klejnotami ozdobione ręce.

Po chwili zaczęła stara opowiadać historyę swego życia, które było tylko długiém pasmem nieszczęść. Młoda oblubienica przysłuchiwała się z zajęciem i ubolewaniem. A gdy się zciemniło, opowiadała jéj nieznajoma towarzyszka w żywych obrazach rozmaite powiastki o książęciach i księżniczkach, którzy żyli przed kilkuset lat.

Woźnica, chcąc się rzeźwo utrzymać, zaczął śpiewać sobie głośno. Z jednostajnym śpiewem jego mięszał się melancholiczny brzęk dzwonków uwiązanych do szyi bawołom. Wtedy radziła stara dziéwczęciu, użyć nieco spoczynku, i naciera jéj członki z całą troskliwością doświadczonéj piastunki tak długo, dopókąd nieusnęła głęboko.

Tymczasem jechali daléj bez przerwy, i o godzinie 3 zrana stanął korowód weselny w starém mieście Muttrze przed pomieszkaniem Narehina Baisaka. Otworzono olbrzymią, żelazem okutą bramę, i gdy wozy wjechały na dziedziniec, zamknięto napowrót. Wszyscy krewni i słudzy Narechina zebrali się, by powitać oblubienicę w nowéj jéj ojczyźnie. Tylko narzeczonego niebyło, gdyż zwyczaj tamtejszy niedozwalał mu jeszcze pokazywać się.

Słudzy narzeczonéj, myśląc, że dziéwczę śpi tak twardo, zaczęli wołać głośno: „Dziewico, dziewico, powstań! jesteśmy już u celu!“ Wołali także: „Burhia (stara), Burhia, wstawaj!“ Ale z wozu niedawano żadnéj odpowiedzi.

Matka narzeczonego uchyliła zasłony wozu i zajźrzała wewnątrz. Lukhmunia leżała wyciągnięta na łożu. „Moje życie,“ — mówiła matka — „powstań, bym cię przycisnęła do mego serca!“ Lukhmunia nieruszała się. Matka dotknęła się jéj ręki: była jak lód zimna. Przyniesiono pochodnię i przy blasku jéj przekonano się, że młoda narzeczona — nieżyła już. Uduszono ją w ciągu nocy; cienki sznurek, który pozbawił ją życia, był jeszcze okręcony około szyi. Biedne dziéwczę stało się ofiarą chytréj niewiasty z sekty Thugów, staréj téj poczwary, nad którą zlitowała się śród drogi. Jéj klejnoty i złote ozdoby, dla których ją zamordowano, poznikały. Obróżki z rąk i nóg ściągnięte zostały widocznie gwałtownym sposobem. Stara wiedziała, którego dnia wyjedzie, i czatowała na nią na drodze.

W kilka miesięcy potém pojmano ją z całą bandą, do któréj należała, w okręgu Bolundżuhur. Z wielu innych szatańskich zbrodni, które wyznała, niemożna porównać żadnę co do złośliwéj chytrości z zamordowaniem Lukhmunii. Około północy — mówiła — gdy dziécię zasnęło spokojnie, założyłam mu stryczek na szyję, który miałam ukryty przy sobie. Dziéwczę szamotało się mocno i narobiło stuku, ale go przygłuszył brzęk dzwonków i głośny śpiew woźnicy. Po dopełnieniu zbrodni zesunęła się z cicha z wozu, który popędził daléj drogą do Muttry, wioząc trupa tylko rodzinie narzeczonego, oczekującéj z takiém upragnieniem pięknéj oblubienicy.

W ostatnich latach zmniejszyła się już znacznie zapalczywość Thugów w Indyach, a przynajmniéj w prowincyach zostających pod panowaniem Anglii. Opowiedziany powyżéj wypadek zdarzył się w roku 1847.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*